

Uprzątnąć siebie spośród ludzi. Mądry konserwatyzm Jana Maciejewskiego

W „Milczeniu katedry” Jan Maciejewski ofiarował polskiej publicystyce coś bardzo rzadkiego: konserwatyizm wyważony i poetycki – pisze Jarema Piekutowski dla Nowej Konfederacji o najnowszej książce Jana Maciejewskiego.

„Pisarz nigdy nie sprzeciwia się swojemu powołaniu bardziej bezczelnie, niż kiedy zaczyna agitować, namawiać, przekonywać; kiedy staje się «osobą publiczną», autorytetem. (...) Największą nagrodą dla pisarza jest jego wolność. Wolność od własnej wiedzy, biografii, poglądów, od samego siebie” – pisze Jan Maciejewski w jednym z pierwszych felietonów, zawartych w tomie „Milczenie katedry”. To odważne stwierdzenie jak na kogoś, kto pisze w „Rzeczpospolitej” – dzienniku trafiającym do mas i często opowiada o sprawach publicznych, także tych bieżących. A jednak Maciejewski jest spójny i nie łamie zapisanej przez siebie reguły. A to już oznacza, że osiągnął coś, co osiągnąć trudno.

Zanim zajmę się tym, o czym pisze Maciejewski, opowiem o tym, jak pisze. Były naczelny krakowskich „Pressji”, felietonista i publicysta „Plusa Minusa”, redaktor, mąż, tata – biogramy autora „Milczenia katedry” są lapidarne, nieprzeładowane treścią, pozbawione słownego baroku. Podobnie jest z jego twórczością. *Ale jak to, to nie barok?* – zapyta ktoś. Z tymi zdobieniami, poetyckością, z pojawiającymi się

nawet (na szczęście rzadko – to już ocena niżej podpisanego) metaforami dopełniaczowymi („urawniłowka gestów”, „protezy zasług”)? Od baroku dzieli jednak twórczość Maciejewskiego zwięzłość i przejrzystość. Jest ona faktycznie poetycka i metaforyczna, ale nie ma w niej zakochania w sobie i we własnych słowach. Publicysta „Plusa Minusa” nie układa ich piętrowo w celu wywołania jakiegoś efektu czy oszołomienia czytelnika. Mieści się znakomicie w krótkim, ulotnym formacie, choć mógłby na bazie swoich przemyśleń pisać sążniste eseje. Nawet „Portrety”, znajdujące się w drugiej części książki obok „Felietonów”, nie męczą długością. Mimo że fraza „uprzątnąć siebie ze świata” pojawia się w jednym z tekstów w znaczeniu krytycznym – opisuje złe „uprzątnięcie” – wybrałem ją na tytuł, gdyż Maciejewski pisząc w pewnym sensie usuwa się z pola widzenia, zwraca uwagę na szczegół, zjawisko, na to, co mówi do nas ulica Krakowa lub Wenecji, co oznaczają dziecięce jasełka, jakim głosem wołają papierowe korony wdeptane w błoto na ulicy. Szczegół jest dla Maciejewskiego szansą na wybicie się, poprowadzenie ogólnej refleksji i połączenie kropek. To wszystko nie znaczy, że głosu autora nie słyhać, że jest niewyraźny czy niejednoznaczny – on tam jest, ale najczęściej wybrzmiewa bez nieznośnego narzutu ego i efekciarstwa.

Maciejewskiemu udało się skutecznie uprzątnąć siebie z opisywanego świata, co stanowi znakomity balans dla rzeczy wielkich, o których pisze w „Milczeniu katedry”

Mało kto dziś tak umie. Umiał tak Andrzej Bobkowski, umie tak Wojciech Bonowicz, umie, w całym swym baroku, Wojciech Stanisławski. Umie tak Michał

Gołębiowski, dla którego przejrzystych i głębokich esejów coraz

częściej punktem wyjścia jest kontemplacja przyrody. Próbuje tak robić też Marta Kwaśnicka, której „Pomyłkę” czytałem równolegle z „Milczeniem Katedry”, jednak bez powodzenia. Wprawdzie konserwatywni krytycy przyjmują ją jako objawienie, ale w porównaniu ze światem Gołębiowskiego i Maciejewskiego jej świat jest boleśnie sztuczny i płaski, a nienasycone, autorskie ego wyziera z co drugiej strony. Tak, Maciejewskiemu udało się skutecznie uprzętnąć siebie z opisywanego świata, co stanowi znakomity balans dla rzeczy wielkich, o których pisze w „Milczeniu katedry”. A to dlatego, że – choć nie wiem, czy Maciejewski nazwałby siebie konserwatystą – pisze w istocie jak konserwatysta. Łącząc owe kropki, tworzy ostatecznie większą narrację lub podpina się pod nią. Zaczyna się od zapachu kawy i perfum, od starej mapy, od paczki machorki, a kończy się na Bogu, modlitwie, ocenie kondycji kultury.

Piekielnie trudno tak pisać w roku 2022, nie narażając się na banał, na śmieszność i zamknięcie w konserwatywnym getcie. A Maciejewskiemu jest jeszcze trudniej, bo jego teksty przepełnione są otwartością umysłu, która rzadko jest w smak współczesnym konserwatystom. Jest mu trudniej, bo nie jest politycznym cynglem. Bo nie obawia się na przykład bronić Gombrowicza przed prawicowymi atakami i napisać, że autor „Ferdydurke” nie był wrogiem polskości. Nie obawia się pisać z zachwytem o Máraim czy Kunderze, którzy, delikatnie mówiąc, nie byli nigdy pupilkami konserwatywnej krytyki literackiej. Ba, nawet o Kutzu potrafi mówić dość pozytywnie, choć nie bez politycznej uszczypliwości.

W ten sposób dochodzimy do tego, o czym pisze Maciejewski. Jeśli miałbym wybrać jeden motyw, który jak podskórny prąd przewija się przez wszystkie teksty w „Milczeniu katedry”, to byłaby nim właśnie

*Autor nie chowa się za gardą,
pisze wprost jako
chrześcijanin, więc przytomne
jest utożsamienie tej
Wielkości z Bogiem. Czytamy
o jej drobnych objawieniach w
wielkich dziełach kultury*

owa Wielkość,
milcząca i
przejawiająca się na
tysiąc sposobów w
historii, w kulturze,
w Kościele, wreszcie
w codziennym życiu.
Autor nie chowa się
za gardą, pisze
wprost jako
chrześcijanin, więc
przytomne jest

utożsamienie tej Wielkości z Bogiem. Czytamy o jej drobnych objawieniach w wielkich dziełach kultury. Przywoływani są Mauriac, Raspail, Bernanos, Mickiewicz, Rymkiewicz, Herbert, Lewis i Tolkien, a więc zestaw dla konserwatysty typowy. Od czasu do czasu udaje się ich przełamać wspomnianymi Kunderą, Gombrowiczem i Máraim, choć nie da się ukryć, że fascynacje autora rzadko przekraczają magiczną granicę końca XX wieku. Jeśli już mówi o czymś nowszym, to najczęściej o serialach, ale i one umieszczone są w kontekście Wielkości: felieton o „Downton Abbey” staje się pochwałą piękna arystokracji, a ten o „Grze o Tron” przeistacza się w lament nad upadkiem prawdziwej, wielkiej fabuły – jak rzadko kiedy Maciejewski decyduje się na mocny cios, stwierdzając, że „Gra...” to „tylko głupkowata, ale sprawnie poprowadzona opowiadka”.

Tęskni więc Maciejewski za tym, co wielkie, próbuje odszukiwać tę wielkość w tym, co mniejsze – czasami nieco na siłę, ale z pasją. Właśnie arystokrację, dziś tak niemodną w dobie „Chamstwa” i „Ludowej historii Polski”, opisuje z czułością, szukając tych jej elementów, które są warte kontynuacji. Czytelnikowi zapala się więc

czerwona lampka, bo na każdym kroku czai się tu pokusa wywyższania się i elitaryzmu. Maciejewski jednak, lawirując jak można na wirażach, w końcu jej unika. Nie mamy więc wrażenia, że oto powiedziała by z uśmiechem, że jego teksty nie są dla idiotów. Nikogo nie poucza, choć trudno aż w to uwierzyć przy takiej ciężkości materii. Może to otwartość w połączeniu ze zwięzłością i przezroczystością autora (powiedzielibyśmy dziś technokratycznym slangiem: transparentnością) pozwala mu zazwyczaj wyjść obronną ręką z tych zapasów z Tym, co Największe.

Pojawiają się też w „Milczeniu katedry” inne artefakty i symbole konserwatyizmu. Jest Kościół i jego tradycja, uosabiana przez Benedykta XVI, ale i jego inne oblicze, które przedstawia Franciszek. Tego ostatniego Maciejewski opisuje w felietonie dość przewrotnym, tak że trudno po lekturze jednoznacznie uchwycić przesłanie: *„Ekumenizm, ekologia i braterstwo to u Franciszka elementy jednego, a może nawet jedyne jego programu. Może nam się to podobać lub nie, ale najwyższy czas to zauważać. Łączmy kropki, bracia”*. Ja takie niedopowiedzenia kupuję z dobrodziejstwem inwentarza – zdecydowanie wolę je od tak popularnego na prawej i lewej stronie walenia na odlew. Maciejewski umie być bowiem pełen podziwu wobec Kościoła, ale też bezlitośnie łajać go za skupienie na własnym przetrwaniu. Ktoś powie: symetrysta, ja powiem: analityk.

Jest w tych tekstach rodzina, której najważniejszą cechą jest wierność i stałość, a przy tej okazji – pochwała Tolkiena i miażdżąca krytyka Leonarda Cohena. Jedno i drugie moim zdaniem jest trochę zbyt pośpieszne – Tolkien bowiem średnio sobie radził w życiu rodzinnym. Mimo zachowywania wierności, jego małżeństwa w żaden sposób nie można nazwać udanym, a rady przekazane synom niekoniecznie

Otoczony zewsząd przez głupi konserwatyizm, a raczej pseudokonserwatyizm będący w swej istocie chamską, polityczną trollerką, witam książkę Maciejewskiego z radością. Bo jego karkołomne przedsięwzięcie okazuje się summa summarum udane.

zaowocowały (kto chce, niech poszuka w ich biografiach). Cohena zaś Maciejewski po chopnie (balansując między faktami z biografii a chyba nie dość dogłębnie przeczytanymi tekstami piosenek) batoży jako „jednego z pierwszych, którzy

zasiali ziarno banału”. Jest wreszcie mowa o pięknie i o milczeniu, słowem, o tych wartościach, które odrzuca współczesny, internetowy, pokawałkowany świat pracy ku transhumanizmowi, świat, którego prorokiem jest Yuval Noah Harari.

Otoczony zewsząd przez głupi konserwatyizm, a raczej pseudokonserwatyizm będący w swej istocie chamską, polityczną trollerką, witam książkę Maciejewskiego z radością. Bo jego karkołomne przedsięwzięcie okazuje się *summa summarum* udane. Nie znaczy to, że nie ma braków. Poetyckie medytacje i refleksje pozbawione są niekiedy pewnej krwistości, osadzenia na ziemi. Być może sam sobie tu zaprzeczę, „pokręcę sobie racje”, jak pisał Białoszewski, bo przed chwilą chwaliłem Maciejewskiego za owo uprzątnięcie się ze świata – a jednak czasem być może przydałaby się nieco większa wyrazistość. Maciejewski to potrafi, choćby w filipice przeciwko wynoszeniu Pendereckiego na kulturalne ołtarze (pisząc o „zaduchu sali gimnastycznej i ścisiku krawata na gardle”), ale stosuje

nieczęsto. Może przydałoby się nieco więcej chestertonowskiego poczucia humoru, bo jednak przebić się przez ponad 500 stron tekstów niemal zawsze poważnych – to pewne wyzwanie, łagodzone na szczęście krótką formą. A jednak mimo tego, a może właśnie dlatego, bardzo jestem ciekaw, w którą stronę pójdzie Maciejewski po „Milczeniu w katedrze”. Bo daje polskiej publicystyce coś, co tak rzadkie: konserwatyzm mądry, wyważony i poetycki.

Jarema Piekutowski

Tekst ukazał się na łamach Nowej Konfederacji. Publikujemy go dzięki uprzejmości Redakcji.